

OD KAMIENICY W CENTRUM JERZY MARKOWSKI WZIĄŁ NAS

Przemierzając Śląsk śladami wspomnień Jerzego Markowskiego, odkryliśmy nieznane dotąd historie z jego życia

TOMASZ CZOIK
tomasz.czoik@nettg.pl

Jerzego Markowskiego przedstawiać nie trzeba – dla każdego, kto choć trochę interesuje się górnictwem, to postać absolutnie ikoniczna. Były wiceminister, budowniczy i dyrektor kopalni, ratownik górniczy, Założyciel Fundacji Rodzin Górniczych i najczęściej cytowany branżowy ekspert, który przez dekady współdecydował o losach polskiego węgla.

Tym razem jednak zesłaliśmy z poziomu oficjalnych debat. Jerzy Markowski zabrał nas na wyjątkową przejażdżkę po miejscach dla niego najważniejszych – czyli tam, gdzie dorastał, spędził młodość i gdzie stawał swoje pierwsze, często niełatwe kroki na kolejnych szczeblach górniczej kariery.

Dom przy ulicy 3 Maja 35a w Zabrze – tygiel narodowości, śląski einfahrt i początek wszystkiego

Ten dom ma swoją niezwykłą historię i to tutaj wszystko się zaczęło. Budynek został wybudowany pod koniec lat 40. dla dozoru kopalni Zabrze-Zachód – a trzeba pamiętać, że w tamtym czasie w Zabrzu działało aż siedem kopalń. Tu się urodziłem, tu wychowałem, tu spędziłem dzieciństwo i tu zmarli moi rodzice.

Nasza kamienica była prawdziwym tygłem etnicznym i narodowościowym. Naprzeciwko nas mieszkali Polacy z Ukrainy, z bardzo ciężkimi doświadczeniami wołyńskimi, którzy stracili tam połowę rodziny. Oba mieszkania na pierwszym piętrze zajmowali polscy inżynierowie urodzeni na Zaolziu, którzy w latach 60. przyjechali do pracy w tutejszych kopalniach – wybitni specjaliści od szybów, panowie Rybarek i Gorgula, tacy polscy Czesi lub czescy Polacy. Piętro wyżej mieszkali klasyczni Niemcy, u których mówiło się wyłącznie po niemiecku. Tuż nad nimi mieszkał pan Filipowski, nadsztygar ds. przeróbki mechanicznej węgla na kopalni Zabrze-Wschód, którego córka – moja rówieśniczka – jest dziś wybitnym lekarzem dermatologiem. W sąsiedniej klatce, na trzecim piętrze mieszkał z kolei Kazik Fliśnik, piłkarz Górnik Zabrze.

Przejście na podwórko nazywaliśmy z niemiecką einfahrt – tak samo zresztą jak mówi się i dzisiaj. Tam się po prostu bawiliśmy. Zabawy były proste, na miarę tamtych cza-



Dom rodzinny



Okolice domu rodzinnego

sów, bez komputerów, za to wszyscy się doskonale znali. W narożniku działała fantastyczna piekarnia, gdzie pieczono kołoczki i inne słodkości. Tuż obok zawsze był trawnik, kiosk Ruchu i – co kluczowe – przystanek tramwajowy. W jedną stronę jechało się z niego do kopalni Makoszowy, a w drugą do kopalni Ludwik i Concordia.

Szkoła Podstawowa nr 6 – „Tysiąclatka” i lot Gagarina

Moja szkoła podstawowa – wtedy i teraz numer 6 im. Marii Skłodowskiej-Curie – to była tak zwana „Tysiąclatka”, czyli jedna z tysięcy szkół budowanych w Polsce na Tysiąclecie Państwa Polskiego w latach 60. Chodziłem tu do klasy czwartej, piątej, szóstej i siódmej. Wtedy edukacja podstawowa kończyła się właśnie na

siódmej klasie – więcej nie było trzeba, żeby pójść dalej, do technikum.

To była bardzo porządna szkoła ze znakomitymi nauczycielami. Szczególnie pamiętam trzy osoby: polonistkę – panią profesor Bardzińską, wychowawczynię Panią Kocłajda – po prostu fantastyczną nauczycielkę oraz panią dyrektor Dworakową.

Z panią dyrektorką wiąże się zresztą niezwykle wspomnienie. Pamiętam to doskonale, maj 1961 roku: byliśmy w klasie, gdy nagle weszła do sali i powiedziała: „Dzieci, wstańcie, bo zdarzyło się coś szczególnego na świecie”. Nie wiedzieliśmy, o co chodzi, a okazało się, że właśnie podano do informacji publicznej, iż Jurij Gagarin po raz pierwszy poleciał w kosmos. Jego lot trwał 108 minut. To było ogromne wydarzenie.

Technikum Górnicze w Zabrzu – wizyta de Gaulle’a i legendarni nauczyciele

Moje technikum mieściło się w budynku o trudnej historii – przed wojną była tu siedziba Gestapo, a później milicji. Szkołę skończyłem w 1968 roku, a klasę miałem na pierwszym piętrze. Powiem szczerze: najwięcej o górnictwie dowiedziałem się właśnie w tych murach. Późniejsze uczelnie nie dały mi już tak wiele, jak kopalnia i ta konkretna szkoła. Trafiłem tu na wybitnych, niezwykle życzliwych pedagogów, a wśród nich byli m.in. pani profesor Podolakowa, która uczyła nas górnictwa, choć sama nigdy nie była pod ziemią, pan profesor Grzybowski – polonista, dzięki któremu potrafię dziś cokolwiek napisać, pan profesor Surowiak, dyrektor szkoły, przedwojenny oficer, który z ogromną pasją uczył geologii, czy pan profesor

JERZY MARKOWSKI (ur. 6 października 1949 roku w Zabrzu) to inżynier górniczy, doktor nauk technicznych, były senator RP oraz wiceminister przemysłu i gospodarki odpowiedzialny za restrukturyzację górnictwa. Przeszedł ścieżkę od górnika do dyrektora KWK „Budryk”, był ratownikiem górniczym, a dziś działa jako ekspert rynku energetycznego.



Pelc – świetny nauczyciel matematyki. Co ciekawe, w szkole zorganizowano kiedyś plebiscyt na patrona i to ja zaproponowałem Gustawa Morcinika – i tak już zostało.

Z kolegami ze szkolnej ławy losy stykały mnie po latach w najmniej spodziewanych momentach. Gdy w 1996 roku jako minister przyjechałem na kopalnię Bielszowice, w czasie akcji ratowniczej po katastrofie, wszedłem do gabinetu dyrektora i kazałem połączyć się z kierownikiem akcji. Pod ziemią, po drugiej stronie słuchawki był nadsztygar Czesław Ochman. Poprosiłem go służbowo: „Nadsztygarze, proszę mi powiedzieć, gdzie jesteście i co widzicie”, a on po chwili konsternacji odpowiedział po prostu: „Jurek, to ty?”.

W czasach, gdy byłem uczniem Technikum Górniczego w Zabrzu, do Polski przyjechał Charles de Gaulle. Przemawiał wtedy na placu przed Domem Muzyki i Tańca. Przygotowaliśmy się do tej manifestacji i razem z kolegami z klasy dostaliśmy zadanie wykonania transparentu w języku francuskim. Do dziś pamiętam to jedyne zdanie, jakie znam po francusku – napisaliśmy: „Jamais plus Oradour”, czyli „Nigdy więcej Oradour”, nawiązując do masakry, do której doszło we francuskiej wiosce w 1944 roku. Śmieję się czasem, że dzięki de

Gaulle’owi potrafię coś powiedzieć po francusku!

A przy okazji: mało kto wie, że de Gaulle przed laty mieszkał w Zabrzu. Gdybyśmy jechali ulicą 3 Maja w stronę Kończyc i dalej do Bielszowic, to na rozjeździe na Pawłów stoi budynek – dzisiaj ośrodek zdrowia, a dawniej dom mieszkalny. To właśnie tam stacjonował i mieszkał de Gaulle, gdy jako młody oficer przebywał na Śląsku wraz z wojskami francuskimi w okresie plebiscytowym. Podczas swojej wizyty w Polsce w latach 60. odwiedził zresztą to miejsce.

KWK Szczygłowice – instrukcje od żony nadsztygara

Moja pierwsza w pełni poważna, stała dniówka po ukończeniu technikum górniczego przypadła na 8 sierpnia 1968 roku. Wcześniej dorabiałem na Szczygłowicach w wakacje – najpierw na placu drewna, a potem w dziale wentylacji, gdzie na mapach pokładowych nanosiłem kierunki przepływu powietrza. Tam nauczyłem się sztuki, której dziś mało który inżynier czy dyrektor potrafi: rysowania przestrzennych i kanonicznych schematów przewietrzania. Jednak 8 sierpnia wysiadłem z autobusu jako etatowy pracownik, szedłem do bra-



Technikum Górnicze



Technikum Górnicze



Szkoła Podstawowa

ZABRZA PO KOPALNIĘ BUDRYK. W WYJĄTKOWĄ PODRÓŻ

oraz pierwszych kroków w górniczym fachu



KWK Szczygłowice



KWK Sośnica

my i pamiętam doskonale swoją jedyną myśl: „Byłe wytrzymać 25 lat i będę miał spokój”. W tym roku mija od tamtego dnia 58 lat, a mnie wciąż jest mało!

Pamiętam dokładnie, że mój przewóz pracowniczy z Zabrza wyjeżdżał o 4:20 rano z ulicy 3 Maja – z przystanku tuż pod moim domem. Tuż po piątej rano byliśmy na miejscu pod bramą kopalni Szczygłowice. Później te same autobusy jechały jeszcze po okolicznych wsiach, żeby przewozić górników z Wilczej czy Gierałowic. Na początku nie znałem nikogo. Największym stresem pierwszego dnia było to, skąd wziąć ubranie robocze, żeby zdążyć na zjazd. Na szczęście przeszliśmy szkolenie, a do tego każdy nowy pracownik dostawał starszego opiekuna, który prowadził go przez pierwszy miesiąc. Na Szczygłowicach przeszedłem pełną ścieżkę: od górnik-stażysty, przez nadgórnika, aż po nadsztygara górniczego.

Ponieważ studiowałem wieczorowo, przez pięć lat chodziłem wyłącznie na nocne zmiany. Miałem pod sobą dwie ściany i 150 ludzi. Nigdy nie zapomnę, jak przyszedłem kiedyś do pracy – był to upalny, letni wieczór – i w książce raportowej zauważyłem polecenie: „Sztymarze Markowski, po przysięgu proszę zadzwonić do domu do nadsztygara Sadowskiego”. Dzwonię pod podany numer, odbiera żona i mówię jej, że sztygar z oddziału wydobywczego dzwoni po instrukcje na noc. A ona na to: „Męża nie ma, bo myje auto, ale jo panu wszystko powiem, co pan mo robić” (śmiech)! Było to bezdzietne małżeństwo, które żyło kopalnią i fedrowało – i dosłownie, i w przenośni – przez całą dobę.

To było bardzo charakterystyczne dla ówczesnego Śląska – tu wszyscy żyli kopalnią, z kopalni i dla kopalni.

KWK Sośnica – bardzo wymagająca kopalnia

Na kopalnię Sośnica trafiłem w styczniu 1982 roku. Kopalnią kierował wówczas de facto komisarz wojskowy. Mimo że miałem już doświadczenie oraz formalne zatwierdzenie na stanowisko zastępcy kierownika robót górniczych, zaproponowano mi start od poziomu sztygara zmianowego. Zgodziłem się. Przez kolejne dziewięć lat przeszedłem po kolei wszystkie szczeble dozoru: od sztygara przez głównego inżyniera górniczego budującego Pole Bojków, po naczelnego inżyniera ds. inwestycji. To była dla mnie fantastyczna szkoła, bo właśnie tam nauczyłem się inwestycji górniczych i budowania kopalni od podstaw.

W tym czasie na Sośnicy powstawał m.in. poziom 950 m, udostępniający nowe pokłady, a także nowy zakład przeróbki mechanicznej i stacja przygotowania węgla. Kopalnia budowała wówczas nie tylko infrastrukturę przemysłową, ale i całe otoczenie społeczne: w dzielnicy Sośnica w zaledwie cztery lata – pod koniec lat 80. – powstało 5 osiedli mieszkaniowych, czyli łącznie 1740 mieszkań. To więcej, niż wybudowano w całej powojennej historii tej dzielnicy! Do tego dochodziły trzy ośrodki czasowe (m.in. istniejący do dziś hotel „Sośnica” w Zakopanem czy ośrodek sportów wodnych w Rynie), ośrodek zdrowia oraz zaplecze sportowe. Górnictwo było wtedy głównym kanałem

przesyłowym pieniędzy do województwa śląskiego – wszystko to budowano bezpośrednio ze środków ze sprzedaży węgla a właściwie z dotacji z budżetu państwa.

Powstały też obiekty, które spotkał inny los – jak chociażby wieża Szybu VII, która do dziś stoi nieukończona: bez lin, kół i bez dostępu do węgla, podobnie jak sąsiadująca z nią stacja przygotowania węgla. Moi następcy uznali po prostu, że kopalni nie należy rozwijać, lecz systematycznie ją likwidować, więc te obiekty pewnie zostaną kiedyś ostatecznie wyburzone.

Sośnica była kopalnią niezwykle trudną pod względem górniczym i technologicznym – stale zmagaliśmy się z pożarami podziemnymi, pracowałem tu również jako ratownik górniczy. Miałem jednak szczęście do wybitnych przełożonych i współpracowników. Bardzo ceniłem dyrektora Gerarda Gołę – wybitnego górnika i mojego sąsiada, który uczył mnie fachu od podstaw. Na Sośnicy pracowała też wówczas cała plejada postaci, które później tworzyły historię polskiego przemysłu: Wojtek Bradecki (późniejszy prezes Wyższego Urzędu Górniczego), prof. Marian Turek z Politechniki Śląskiej, Michał Kwiatkowski (późniejszy prezes Gliwickiej Spółki Węglowej) czy Andrzej Lipko (późniejszy wiceminister przemysłu).

Lata 80. były ostatnim okresem, kiedy węgiel traktowano jako absolutny priorytet i surowiec strategiczny pod eksport (Polska wysyłała wówczas za granicę blisko 40 mln ton rocznie przy 72 czynnych kopalniach). Przemysł funkcjonował dzięki dotacjom budżetowym, co odciągało kadry od twardej ekonomii, ale pozwalało uniknąć napięć społecznych. Dopiero lata 90. przyniosły zderzenie z rynkiem i problem nadpodaży węgla, z którym musiałem się mierzyć już jako minister.

Pole Bojków – pierwszy krzywy szyb w historii

Gdy w 1984 czy 1985 roku zostałem głównym inżynierem i zawiadowcą Pola Bojków, dostaliśmy zadanie uruchomienia tutejszego szybu zjazdowo-materiałowego. Powiesiliśmy naczynia, założyliśmy liny i wypuściliśmy klatkę w dół. Zjechała jakieś 300 metrów i stawała dębem – po prostu nie dało się jechać niżej. Okazało się, że obudowa betonowa szybu została w jednym miejscu wypiętrzona do środka przez podziemną wodę i klatka się w niej nie mieściła. Mieliśmy chyba pierwszy przypadek „krzywego



Pole Bojków



KWK Budryk

szybu” w historii polskiego górnictwa.

Razem z Janem Lesiem, ówczesnym dyrektorem Przedsiębiorstwa Budowy Szybów, spędziłem tu zimą kilkadziesiąt nocy, wykując w mrozie naroża w betonie, żeby klatka mogła wreszcie swobodnie przejść. Ostatecznie tędy zjeżdżało na dół, do poziomu 950 m, aż 1200 ludzi.

Tuż obok stoi mniejszy szyb – podszkzowy, którym spławiano kiedyś piasek do podziemi, by podtrzymywać strop w wyrobiskach. Z tym miejscem wiąza się też bardzo trudne, osobiste wspomnienia. To tutaj przeżyliśmy potężne zagrożenie, gdy ludzie zjeżdżający klatką w dół wjechali nagle w atmosferę beztlenową. Na szczęście ocalałym nic się nie stało – do dziś zresztą spotykam się z inżynierem, który brał w tym udział i wracam do wspomnień do tego zdarzenia.

Niestety, na Polu Bojków przeżyłem też swój pierwszy wypadek śmiertelny na Sośnicy. Zginął mi tutaj 18-letni chłopak, zaledwie miesiąc po tym, jak zaczął pracę na kopalni. Takie momenty zostają w człowieku na całe życie.

KWK Budryk – pomnik życiowego dzieła

To jest miejsce, które stanowi pomnik mojego życia górniczego. 1 lipca 1990 roku w wyniku konkursu zostałem dyrektorem tej kopalni a moim zastępcą Paweł Koldonek – wybitny górnik. Zostałem dwutysięczną założycielem, 142 złote w kopalnianej kasie oraz decyzję o wstrzymaniu budowy ze wskazaniem na likwidację zakładu. Z całego krajobrazu, który pań-

stwo widziecie, istniał wówczas tylko Szyb III – zjazdowy do poziomów 750 i 1050 metrów – oraz punkt załadunku na tory kolejowe. To właśnie te tory i szyb wyznaczyły przestrzeń pod zabudowę. Cała pozostała infrastruktura powstała w latach 1990-1995, kiedy tutaj dyrektorowałem. Gdybym sam projektował tę kopalnię od zera, wyglądałaby inaczej, ale musiałem wypełnić zastale ramy i oczywiście pod ziemią udostępnić pokłady węgla.

Kopalnia uruchomiła wydobywanie w grudniu 1994 roku, co uroczystie zainaugurował premier Waldemar Pawlak. Moja misja dyrektorska zakończyła się w marcu 1995 roku, gdy 20 marca zostałem sekretarzem stanu w Ministerstwie Przemysłu i Handlu w Warszawie. Kopalnia zatrudniała wtedy 2 tysiące osób i dochodziła od zera do prawie 3 milionów ton wydobycia rocznie. Dziś zatrudnia 5 tysięcy ludzi i wydobywa ponad 2 miliony ton. Nie komentuję tego – taki jest trend naszych czasów.

Budryk wydobywa obecnie wyłącznie węgiel koksowy (typ 35.1), zlokalizowany na poziomach od 700 do 1290 metrów – ten ostatni jest najgłębszym czynnym poziomem we współczesnym polskim górnictwie. Zakład posiada w eksploatowanych zasobach jeszcze 240 milionów ton węgla koksowego. Kopalnia należy dziś do Jastrzębskiej Spółki Węglowej, lecz kiedy ją budowałem, była w pełni samodzielnym podmiotem prawa handlowego i między innymi dlatego mogła powstać.

Co kluczowe, jest to pierwsza i zarazem ostatnia kopalnia w Polsce wybudowana całkowicie bez udziału budżetu państwa – sfinansowano ją z corocznych kredytów z zaledwie 60-procentowym poręczeniem Skarbu Państwa, a kredyt był oprocentowany 56%. W tamtych czasach wielkich przełomów politycznych co roku mierzyliśmy się z niepewnością finansową; pierwszą transzę środków na budowę dostałem kiedyś dopiero 23 grudnia. Mimo to nigdy nie dopuściliśmy do sytuacji, w której ludzie nie dostaliby wypłaty – a mówimy o 2 tysiącach pracowników kopalni i około 10 tysiącach osób z firm zewnętrznych. Pieniądże na wypłatę woziliśmy Polonezem z jednym strażnikiem i psem.

Taka jest historia zakładu, który istnieje i – mam nadzieję – będzie istniał nadal. Budryk – obok Fundacji Rodzin Górniczych – jest jednym z dwóch moich nieślubnych dzieci, jakie urodziły się z mojego związku z górnictwem.